

MARIA  
KONOPNICKA

*Ludzie  
i rzeczy*

 SAGA  
EGMONT

MARIA  
KONOPNICKA

*Ludzie  
i rzeczy*

 SAGA  
EGMONT

Maria Konopnicka

Ludzie i rzeczy  
SZKICE I OBRAZKI

Saga

*Ludzie i rzeczy*

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.  
Copyright © 1898, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728055403

1. Wydanie w formie e-booka  
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

[www.sagaegmont.com](http://www.sagaegmont.com)

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

## Akwilea.

Kto Akwileę chce zwiedzić, niech przede wszystkim weźmie z sobą choć tyle, ile najwstrzemięźliwszemu z arabów do posiłku trzeba: garść daktyli i jęczmienny placek. Łatwiej tu bowiem o stary sandał patriarchy, niż o chleb, i o gwoźdź z podkowy Atyli, niż o kawałek mięsa.

O hotelach, łóżkach, pokojach także tu nie marzyć. Kto chce spocząć, siada na pierwszym lepszym sarkofagu i patrząc na czarne wianki kawek, oblatujące szczyty starej Campanilli, myśli o rzeczach świętych a minionych; kto chce się wyciągnąć, czyni jak pierwsza lepsza kolumna, upada w trawę i gałązkom powoju pełzać po sobie pozwala.

Chce pić — przychyła do ust opartą gdzieś o płot wysmukłą rzymską amforę i pije, jak ptak wodę, która z nieba spadła; a chce za gościnę dziękować, obraca mowę do popielnic, które po warzywnych sadach ciche stoją, ukazując z pod okrągłych pokryw czarne, zasnute pajęczyną wnętrza, a w nich nieco prochów tych, co tu panami byli. Dziwne miasto! Dwie cywilizacje, jedna na drugiej pod niem leżą, a na obu rozkorzeniły się cyprysy i bluszcze. Nie skonało gwałtowną śmiercią jak Pompeja i jak Herkulanum; nie zachowało w czystości zagrobowego piękna dawnych swoich rysów: ani tych, w kamei ciętych, jakie miało za Cezarów; ani tych wpół mniszych, a wpół wojowniczych, jakie na niem patriarchat wycisnęła.

Zmieszane, zbite, stłoczone, wieki na wiekach tu leżą, nie syn po ojcu, jak je rodzi czas, ale jak je stratował i skopał biały koń Atylli, co kopytami w piorunowych błyskach spadł

na rzeczy żywe i umarłe, razem je druzgocąc pod jakiś nowy, wielki posiew życia.

Ale życie cofnęło się przed tym gwałtem i nowego posiewu nie dało.

Pustka było imię tego, co tu przyszło przesiewać widmową dłonią popioły, po owej pożodze, którą sobie wielki barbarzyńca podesłał pod nogi, górę sypać dawszy tam, gdzie teraz dawny Castel nad Udino sterczy, by mieć u stóp widzenie ognistego morza, gdy się płomień na białość marmurowej Akwilei rzuci, i upajać się dymem śmierci, z tej olbrzymiej kadzielnicy płonącego grodu, nad którym orzeł nagłą jasnością z gniazda swojego ruszony, bił skrzydłami od wschodu słońca do zachodu słońca, myśląc, że jest zorzą. Aż zmordowawszy loty, oparł je na czerwonych łunach, spadł piersią w płomienisko i tak się dokończył.

Dziwne miasto! Zrzuć z piędzi ziemi barwinki, co ją modro kwieć, i wiosenne darnie, rozkop ją przed sobą głęboko, a dobierzesz się do jakiegoś akweduktu z czasów Augusta lub Trajana, do potrzaskanych mozaik jakiegoś atrium, do maszkar jakiegoś impluvium, do cokułu zgruchotanego posągu, do pogrzebanych podstaw kolumny, do opadłych z czoła świątyni fryzów.

A na tem wszystkim pokład skruszałych marmurów, prochów ludzi i zwierząt, spalenizna kości, cały ten żywy *humus* historycznej gleby, na którym korzeniło się i bujało bliższe ciębie życie: życie, co także już rumowiskiem jest tylko. Tu ci więc z pod nóg wyjrzą połamane płyty grobowe, znaczone palmą, oliwną gałęzią, rybą i swastyką; tu rozbite ręce grubo ciosanych posągów, z bizantyńska, dwoma palcami błogosławią pokolenia mar dawno minionych; tu zaszłe mułem czaszki, których usta wołały: „Chryste! Chryste!” usta, których prochu nie rozróżnisz w tej kostnicy wieków od prochu liszki ziemnej i szarańczy wietrznej. A na

tem znów zwir i glina i kamień i pot nędzarzy,  
uprawiających te grobowe ziemie, aby na nich siać i żąć, a  
nędzę swoją podeprzeć jeszcze na czas mały.

Dziwne miasto! Wskrós dawnych jego ulic woły płowe  
zaorują skiby; bazylikę jego obeszy dziczałe pastwiska;  
winnice na rynkach i placach wyrosły, a wierzba puszcza  
latorózgi we wnętrzu komnat rozsypanych gmachów.

Szczere pole rozwiódło, rozepchnęło sobą dawne jego  
części. Po ugorach, po haszczach, po zarosłych cierniem  
wertepach szukać trzeba jego obwodu, jego starych granic.  
„Monastero,” dziś osobna osada, obrosła ubogiemi  
siedzibami rybaków, jak grzybem, to jeden z dawnych  
klasztorów miasta, odcięty od niego teraz uprawami  
kukurydzy i koniczyn. Idź dalej jeszcze na wschód, w  
kierunku dawnej „via Gemmina” rzymskiej, a napotkasz  
folwarczne podwórze, u którego wrót, po obojej stronic  
stoją dwie korynckie kolumny. Siwe jałowice przychodzą się  
czochoać o ich złotawy marmur, kiedy je pastuch do obory  
pędzi. Idź na północ, a ogarną cię role ciche i bezpłodne, na  
których chudą trawę gryzą chude kozy; co gdy miniesz,  
obaczysz w pustce kilka nędznych domostw, w miejscu,  
gdzie dawniej była brama miasta: dotąd noszą one nazwę  
„All’ porta Aquileia.”

Idź na południe, a zajdziesz w karczowiska, które, nim na  
nich las porósł ten, co go już niema, były miejscem, gdzie  
stała świątynia przez celtów czczonego Apolina-Belena, na  
południowym obwodzie miasta, nieopodal amfiteatru,  
wzniesiona. Z świątyni ocalały fragmenty rzeźby i ofiarne  
ołtarze: o amfiteatrze świadczy jedna tylku marmurowa  
deska, której grecki napis opowiada o pięknej Bazylii,  
rozkoszy oczu widzów tu i w Taorminie, aktorce  
niezrównanego wdzięku, która, młodo umierając, urnę z  
popiołami swemi pod sceną amfiteatru w Aquilei

pogrzebaną mieć chciała. Deska ta może oznaczała miejsce, gdzie owe wdzięczne popioły spoczęły.

Dziwna rzecz! Kiedy z takiego amfiteatru nie zostało nic, a z świątyni drobne tylko okruchy, tu owdzie między karczowiskiem widać wielkie, ciężkie, z szarych gładów budowane rudery, które jeszcze krzepko stoją, choć sądząc z ich przeznaczenia, co najmniej współczesne amfiteatrowi być musiały. Są to koszary kamienne, w których na noc zamykano niewolników, używanych do osuszania bagien i uprawy pól, owych to „Coloni”, skupowanych w Panonii, Noryce i Sławonii. Właściwie mówiąc, nie jest to nawet dziwnem. Z marmurów Akwilei budowała się przez długi czas Wenecja i zdobiła niemi, zabierało je Udine i inne, co bliższe miasta. Kiedy trawa po Hunnach zarosła, nieszczęsny gród zburzony stał się wprost łomami marmuru, z których brał kto chciał i jak chciał korzystał. Ale rudery owe kamienne nie budziły niczyjego pożądania i tak przetrwały.

A w niej przetrwał jęk, który, gdy idziesz mimo, a duszę masz echową, dziś jeszcze odbija się w niej skargą. I stajesz wtedy i słuchasz, bo ci się zdaje, że słowa tej skargi rozumiesz...

I tak jest! *Slavus sclavus* tu jęczał, jego to głos przywarł do tych kamiennych murów.

Akwileja za swoich świetnych czasów pod panowaniem Trajana prowadziła szeroki handel winem i oliwą, za które w zamian brała niewolników i bydło. Nie wiem, jak się tu działo bydłu na tych chudych i bagnistych paszach, ale z napisów na płytach grobowych zebranych w muzeum widzę, że niewolników wyzwalano często. I tego nie wiem, co o tych częstych wyzwoleniach historycy mówią, ale gdy wyzwolenicy do siedzib nie wracając tutaj wymierali, to wyobrażam sobie, że wyzwolenia te były częściowe może tylko, i że się odbywały mniej więcej w ten sposób.

*Slavus sclavus* zjadany smutkiem marnieje. Ma chleb, trochę wprawdzie ościsty i spleśniały, ale zawsze chleb. Ma wodę, czasem trochę zatechłą, ale zawsze wodę. W wielkie upały nawet mu do niej trochę octu leją. A jednak marnieje. Już w nim tej dobrej siły niema, co przed rokiem; już mu twarz spadła, drżą ręce, oczy mgłą zachodzą.

— Co ci to, niewolniku? — pyta pan. *Slavus sclavus* ma pana wyrozumiałego, jaki się często za zbożnej dynastii Antoninów trafiał.

— Czyś głodny?

— Nie głodnym, panie.

— Czyś chory?

— Nie chorym, panie.

— Czemu więc twarz twoja spadła, a dobrej siły niema w ręku twoich? Oto cielec, którego raz z tobą kupił; rośnie pięknie i już rogi puszcza. Dlaczegoż z ciebie nie mam tej korzyści?

— Za wolą tęsknię, panie!

Pan zamyśla się, milczy przez chwilę, aż rzecze:

— Za wolą tęsknisz? Nie mogę tracić ceny tych łagwi oliwy i wina, którem za ciebie dał. Skoro jednak marniejesz, coś stracić muszę, bym nie utracił wszystkiego. Słuchaj tedy, co uczynię: Wolę ci dam i nie będziesz się liczył między niewolników; postronek, który na szyi nosisz, zdjąć każę. Uprawiać będziesz pole moje przez dni cztery; przez dzień Marsa, przez dzień Saturna, przez dzień Jowisza i przez dzień Wenery; przez resztę dni rób co chcesz i pracuj jako chcesz na wyżywienie swoje.

*Slavus* padał do nóg panu i wstawał — pierwszym pańszczyznianym chłopem. Cztery dni obrabiał grunt pański, a piątego i szóstego, a także i siódmego wolny sobie chodził, grając na piszczalce, uczynionej z trzciny, na blizkiem „Paludi” rosnącej, a krzepiąc tą odrobiną woli

duszę swoją, o chlebie zapominał, tylko grał, grał, a na północ ze łzami poglądał.

Daleko mu było i teraz, co prawda, do rosnącego i puszczającego rogi współtowarzysza doli, panońskiego cielca; ale choć przez trzy dni w tygodniu głodny, życie miał przecież w oczach, a tak rozegrał duszę, że gdy przyszedł dzień Marsa i dzień Saturna i Jowisza i Wenery, przy robocie śpiewał. Co słysząc pan jego, wysoko podnosił głowę, wydymał wargi i mówił: „Mój *wyzwoleniec* śpiewa”. Tak jak teraz, dajmy na to, wydawca mówi: „mój poeta pisze”. A gdy srodze wychudły i nagiem ciałem świecący *Slavus sclavus* umierał, co zwykle czynił dość rychło w tych klimatach, które mu przyrodzone nie były, pan na kawale granitu albo marmuru pisać dawał, jako umarł *wyzwoleniec* takiego to a takiego zacnego kwiryty. Co widząc insi, jaka z tego chluba rośnie, iż to ludzi próżnych jak teraz, tak i za zbożnej dynasty Antoninów było dość, toż samo czynili. Ile, że z podziwieniem przekonano się, jako *wyzwoleniec* przez dni cztery tyleż wykonał pracy, ile *Sclavus* przez dni siedm wykonywał, co oczywiście poślednią pobudką ku szlachetnym czynom żadną miarą być nie mogło. A tak się owych tablic za czasem sporo zebrało.

Do dzisiejszej Akwilei przybywa się od strony Bazyliki. Zdala już widać jej potężną Campanillę, wpośród pól płaskich, położystych, ku lagunom Adryatyku skłonionych. Dwa stołby kwadratowe jeden na drugim stoją, na ogromną wysokość z szarego granitu dźwignięte, ostrym dachem nakryte, arkadami pod nim rozświetlone, a jak baszty forteczne, gęsto wylotami strzelnic czerniejące. Z dzwonnicy tej otwiera się widok ku wschodowi na Julijskie Alpy, a ku południowi na morze. Ziem wszakże na zachód leżących i na północ nie rozeznasz, taką ci się w oczach modrą mgłą ta dalekość czyni. Powiadają, że kiedy z tej wysokości huczały wielkanocne dzwony, to je w Wenecyi

słyschać było i w Tryeście. Teraz tej mocy głosu już nie mają: dzwonników dawnych brakło.

Sama Bazylika, ciężka masa posiwiałych murów, osiadła w ziemi tak, że wchodząc do niej, przestępujesz próg nisko, pod warstwą dzisiejszego życia leżący. Ale ta zakłęśłość nie jest jej najdawniejszym poziomem. Więzienie św. Hermagorasa, w kryptę po jego męczeństwie zamienione i pierwotnym jądrem świątyni tej będące, leży niżej jeszcze. Leży tak nisko, jak wielkie płaskie kamienie starych rzymskich bruków, którymi na jakie dwa metry w głąb podesłane są winnice i pastwiska, zajmujące dziś pięć szóstych części dawnej Akwilei.

Jakiś wielki smutek, jakaś niezmierna melancholja leży w tej perspektywie głębokiej, pełnej jednostajnej szarzyzny, jaką tworzą trzy puste, bardzo długie nawy Bazyliki.

Idziesz, a razem z tobą zdają się iść te rzeźbione figury sarkofagów, proste, sztywne, w ornament architektoniczny wciśnione, same jeszcze z przewagi ornamentu nie wyzwolone. Idą z tobą, czepiają się ciebie, stają się cieniem twoim. A wszystkie z ust twoich czekają uzalania, westchnienia, wspomnienia. A wszystkie z oczu twych patrzą współczucia, z niezmiernym smutkiem kamieni opuszczonych, nie wiedzących, po co się narodziły i żyją, i poco to życie tak bardzo podobne jest śmierci?

W pośrodku dwa precudne kapitele, z korynckich kolumn strącone, za kropielnice służą; dalej nizki starożytny ołtarz, po za którym absyd przyćmiony zasłoną poruszaną wiatrem, wchodzącym przez wybite szyby. W absydzie tym, na podwyższeniu, modli się ksiądz na pulpit skłoniony i z zakrytą twarzą. Mała lampa kołysze czerwony płomyk tuż nad jego głową. Jest coś przejmującego w tej ukorzonej postaci, w tym oświeceniu, w tych szeptach chwiejącej się zasłony, w tym momencie całym.

Pod starymi murami, z których przeświecają gdzieś zblakłe freski, z odpadłych tynków, stoją marmurowe sarkofagi wielkich patryarchów. Te sarkofagi są jedynym zbytkiem Bazyliki. Jedne stoją w kaplicach bocznych, drugie w chórze, na kolumnkach marmurowych podniesione, jak owe grobowce z XIII-go wieku na placu Dominikańskim w Bolonii. Z niektórych zostały tylko marmurowe deski przednie rzeźbą zdobne. Na prawo taki sarkofag, podniesiony na czterech nadzwyczajnej lekkości kolumnkach, zagrodzony jest od dołu z dwu stron marmurowymi deskami, od wnętrza gładkimi, a zewnątrz zarzuconymi przebogata rzeźbą liści, kwiatów, gryfów, lwów, jeleni, między którymi powtarza się postać orła, jako motyw przewodni, co wszystko obramia i dzieli niezmiernie delikatna i subtelna w prostocie swej plecionka geometrycznych linii.

Wygląda to zdaleka jak płot rozgrodzony, zbliżka zaś oczu od tego oderwać nie można, takie to bujne, żywe, naiwne, takie wcale nie klasyczne, a takie wdzięczne.

Główny korpus Bazyliki połączony jest rodzajem perystylu, na kolumnach zbieranej drużyny opartym, ze starym Baptysterium. Jest to niewielka podłużna świątynia, w zupełnej ruinie stojąca, po za którą, w obmurowanym obwodzie, znajduje się prastara chrzcielnica, w której pogan chrzczono: wielka ośmiokątna cysterna, ze stopniami wewnętrznymi, aż do źródła wody chrztu, co tam z niej biło. Wszystko to, zawałone dziś gruzem, wprost trudne do zwiedzenia; widok pustego po ołtarzu pierwotnym miejsca i wydartej mensy — nadzwyczaj przykry. W środku świątyni tej koło z kamienną Swastyką, a w niej wyobrażenie baranka: po kątach, po framugach okien okruchy marmurów, ułamki fresków, napisy, kości. Cały legion aniołów miałby tu co na pamiątkę brać.

Przed kilkunastu jeszcze laty był tu tymczasowy skład wykopalisk, dobytých tak w Akwilei, jak w „Monastero” i w „Colombara”, dawnem Columbarium rzymskiem, które to wykopaliska znalazły teraz pomieszczenie w nieopodal stojącym muzeum. Nim owo muzeum zbudowane zostało, radzono sobie z owemi skarbami rozmaicie. Jedni mieścili wykopane rzeźby i urny pod ścianami domów, w ogrodach, w kramach, w pomieszkaniach. Inni sprzedawali kolekcjonistom takim, jak Ritter-Zahony, albo jak Eugen-Ritter; jeszcze inni rozłukiwali urny kamieniami, patrząc, ażali w nich skarbów jakich niema. Ale był tu inżynier Hieronim Moschettini, który z takich ułamków wielki kawał muru zbudował, na cement wzięwszy kolumny, kapitele, głowy Meduzy, satyrów, torsy, konie, urny, płyty grobowe, dzbany, lampy, posągi, wszystko, co mu się zgromadzić udało.

Proszę sobie wyobrazić taki galimatias!

I stał ten mur dość długo i może niejednen z tych, co te kartki czyta, widział go na własne oczy. Było to zapewne najosobliwsze muzeum, jakie powstało kiedykolwiek w Europie, a chociaż dobry smak oburza się na taką „kamienną marmeladę”, jak opowiadający o murze tym Majonica, konserwator obecnego muzeum, go zowie, ja żałuję, że tego nie widziała. Bo co to za fantazyja, proszę! Jaki bujny barok! Teraźniejsze muzeum mieści się w siedmiu dobrze pełnych salach, z których dwie do owych Ritterów należą. Ale niewszystko tam się mieści. Popielnice, urny, kolumny, sarkofagi, amfory pod gołym niebem stoją, zajmując klomby i trawniki w obrębie muzeum. Typ wykopalisk tych i tych zabytków nie ma w sobie nic bardzo znamienego; znaleźć tu można to wszystko mniej więcej, co się znajduje po innych zbiorach tego rodzaju w miastach włoskich. Na wzmiankę zasługuje wszakże ogromna obfitość płyt i napisów grobowych, które wprost z

bogactwem Muzeum Lateraneńskiego w Rzymie porównana być może.

Po za tem i tu, jak wszędzie na tych klasycznych ziemiach, wiele bardzo ciekawych fragmentów rzeźby, przeważnie dekoracyjnej; na wszystkich niemal wszakże znać, że je dobywano w sposób nieumiejętny i całkiem dorywczy. Uwagę turysty zwracają głównie na dwa olbrzymie posagi cesarów: Tyberyusza, występującego jako *Pontifex maximus* w todzie na głowie, i w akcie czynienia libacyi bogom — jeden, a Klaudyusza w Cesarskiem „Pallium” — drugi; na wdzięczną Wenus, bez rąk i bez głowy, w takimże przygięciu ciała, jak kapitolńska, tudzież na tors mężki w silnem naprężeniu mięśni i w śmiałym ruchu szyi, tem ciekawszy, że z nieskończonego jeszcze posągu pochodzący i zdradzający technikę starej szkoły swoim punktowaniem.

Jabym dodała do tego wyborną, lubo uszkodzoną silnie grupę dwóch młodych satyrów jadących nu jednym osle, tudzież bachantkę z odrzuconą w tył głową, płaskorzeźbę tak delikatną, że zdaje się być cieniem rzuconym na białość marmuru.

Najcenniejsze przedmioty dobyto z grobowców: tych przynajmniej nie eksploatowała Wenecja. Odznaczają się szczególniej wytworne *Intaglios*, kamienie rżnięte, równie jak drobne figurki z brązu, kości i bursztynu. Specjalnością starej Akwilei zdają się być te wyroby z bursztynu; ciekawe są zwłaszcza pierścienie z popiersiami do trzech cali wysokości mającemi, tak że pierścień podobny w żaden sposób do noszenia służyć nie mógł, ale był raczej pamiątkowym klejnotem, który w urnę zmarłemu kładziono. Zbiory Akwilejskie łzawnic, popielnic szklanych, amfor z terrakoty i lampek, tak z pogańskiej epoki, jak i z czasów chrześcijaństwa, są wprost pierwszorzędne. Dekoracyjne rysunki pogańskich lampek czynią z nich już

dzieła sztuki jakby. Ritter-Zahony ma bogaty zbiór muszel i naszyjników dobytých z Colombara, ciekawą kolekcję kluczy z Monastero i delikatnych naczyń szklanych, tak zwanych *Vasa arretini*. Ale choć muzeum akwilejskie otwarte jest od lat dwunastu, podawnemu przecież niema ogrodu, w którymby starożytnie, pociemniałe amfory nie obrastały bluszczem, niema podwórka, w którymbyś nie spostrzegł jakiej małej *votivary* (wotywnego ołtarza), ofiarowanego to Fatum, to Nemezis, to Parkom, to istocie opiekuńczej, którą jeden zowie: *Spes-Augusta*, a drugi *Bona dea*. Niema domu, przed którym ławka nie byłaby oparta na kapitelach, lub ułamkach kolumn. Zabawny jest czasem użytek, jaki z kapitelów takich się czyni. Na jednym stoi miska bobu na sprzedanie przed małym kramikiem; drugi wyżłobiono na stępę do maku; trzeci opasany powrozem, założonym za nogę kozy, zastępuje miejsce kołka.

W ogóle jest tu wielkie spoufalenie ze starożytnościami. Dzieciaki dziś jeszcze znajdują często: monety, kawałki rżniętego agatu albo karniolu, bursztyny, fibie, skarabeje, bierki do gry w kości. Bawią się tem podrzucając i łapiąc, ciskając do celu lub handlując między sobą; gdy zaś zobaczą cudzoziemca, hurmem lecą za nim, rade sprzedać *per un soldo* choćby duszę własną. W Akwilei przewodników urzędowych i oprowadzaczy z rzemiosła niema; ale czereda dzieciaków stale ci towarzyszy. Chcesz naprzykład zwiedzić zamkniętą kryptę. Zakrystyana niema, wykopuje gdzieś resztki przeszłorocznych głąbów, ale niech cię to wcale nie martwi. Natychmiast ze dwadzieścia dzieciaków wpada do kościoła, do zakrystyi, jeden drugiego podsadza do gwoźdźca, na którym wisi pęk kluczy, porywają ten pęk i lecą majstrować u krypty. Hałas, krzyk, rwetes, jakby raz jeszcze hunny miasto naszły. Szturchają się, popychają i wymyślają sobie, póki jakoś nie dobiorą klucza. Wtedy wpada cała zgraja kłębkim do podziemia,

przewraca się, toczy, gubi w niepewnym świetle czapki i pantofle, poczem z tą poufałością przedziwną, jaką włosi mają do *swojego* świętego, wdrapuje się to wszystko na kraty, zagląda z wierzchu do żelaznej skrzyni, puka w nią, dudni piąstkami, próbuje, czy mocna, pakuje się między kratę a skrzynię, gospodaruje, jak u siebie w domu.

Gdy wyjdiesz, lecą przed tobą z tymże pękiem kluczy i otwierają ci Babtisterium. Teraz zaczyna się prawdziwa heca. Wszyscy zrzucają pantofle i włożą do basenu; krzyczą, śpiewają, wywijają czapkami, obsiadają stopnie, jak wróble; a że każdy chce się popisać z erudycją swoją, z dwudziestu ust dowiadujesz się na raz, że tu się „Gli pagani” chrzcili. Ano dobrze! Masz naturalnie tej wrzawy więcej niż dość, i chciałbyś się od tego tałatajstwa odczepić. Gdzie tam! Opanowali cię zupełnie, uważają cię za swoją *provincia capta*. Teraz już ci nawet nic nie proponują, tylko zapowiadają ci wprost, że idziesz oglądać *una strada romana*. Co masz robić? Idziesz. Okazuje się, że ta *strada romana*, to jest kawał rozkopanego pastwiska, o kilometr jaki od Bazyliki może, które ukazuje starą brukowaną płaskimi kamieniami ulicę z rzymskich czasów, jakąś już gdzieindziej widział. Nie żałujesz wszakże, żeś poszedł; tu bowiem czekało na ciebie wybawienie twoje. Któryś z malców wygrzebał kawałkiem szkła między kamieniami skruszały drobny pieniążek. Natychmiast wszyscy rzucili się do poszukiwań, a tak zostałeś zapomniany, wolny.

Ta natarczywość dzieciaków byłaby wprost nie do zniesienia, gdyby nie nadzwyczajna piękność tego typu. Nigdzie chyba niema tak przedziwnie pięknych dzieci, jak w Akwilei. Twarze są przeważnie śniade, szczupłe, jakby przywążkie nieco stosunkowo do rozwiniętego przepysznie czoła, wspaniałego łuku brwi i wielkich, podłużnych ciemno szafirowych oczu, z rzęsami bajecznie i tak jak włosy czarnymi. Jakaś gwiazdzistość jest w tych oczach, jakaś

niezwykła promienność źrenic — coś co stanowi specjalny jakiś gatunek oczu w tych małych akwilejskich *putti*. Kobiety też są piękne, ale znać, że w biedzie więdną nazbyt wcześnie. I tu powtarza się ta szczupłość twarzy, ten szafir źrenic i te podłużne, silnie ocienione powieki.

Jakieś szczególne wrażenie czepia się wędrowca opuszczającego Akwileję: zdaje mu się, że turkot kół byłby tu czymś niestosownym, czymś nie w miejscu. Woli iść pieszo choć do Monastero. Zdaje mu się, że z takiego cmentarzyska wieków wychodzi się, ale nie wyjeżdża.

Idzie tedy i odwraca głowę raz, i jeszcze raz, i zaczyna ogromnie rozumieć Jeremjasza. Wprost słyszy w powietrzu cichym bolesny głos lamentacji jego: ...„*Quomodo sedet sola civitas plena populo? Facta est quasi vidua domina gentium: princeps provinciarum facta est sub tributo...*”

Idzie, a oto w szczerem polu zastępuje mu drogę strzaskana kolumna z czarnego marmuru. Samotna, bezimienna, rozkoronowana z kapitelu swego, stoi w szerokiej pustce i milczeniu zarosłych zielskiem, zdziczałych ugorów. Jest to najbardziej przejmujący wyraz spustoszenia, jaki mi się widzieć zdarzyło. Ni życie to, ni śmierć, tylko jakieś beznadziejne i niepokieszone istnienie...

---

## Na rybaczych lagunach.

Pędzący do Tryestu pociąg wyrzucił mnie w Ronchi i poleciał dalej. Mała stacya, dopiero co ze snu zbudzona, brzęczy dzwonkami telegrafu, jak wiosenna pszczoła. Co do samego miasteczka, to śpi jeszcze na obadwa uszy, z wyjątkiem „Siora Pieri,“ jak się tu z friulska, zamiast „Signora Pietro“ mówi, i jego spasionego mierzyna.

Sior Pieri sam dziś jest tylko na stacyi; ale to nie podnosi ceny ekwipażu. „L'Capitanato“ bowiem księstwionego hrabstwa „Gradisca“ tak te rzeczy składnie urządza, że nietylko na głównych traktach, ale i na najboczniejszych drogach obowiązuje taryfa, bijąca w oczy na każdej stacyi kolejowej. Niema więc tutaj tego całego aparatu cmokań, wzdychań, namysłań się i wyrzekań, tego malowniczego drapania się w głowę, tego przestępowania z nogi na nogę, co lubo wszystko razem, i nawet z osobna, bardzo zajmującym być może, kaducznie czas kradnie w podróży.

Cobyś ty na to powiedział, o zacny Jesiotrze, właścicielu trzęsącej kamieniarki, parcianej uprzęży i łogawej szkapy, że tak ktoś od jednego słowa na wózek siada? Ty, któryś mnie z Otwockiej stacyi, o dwie wiorsty w las, przez trzy miesiące tam i napowrót wożąc, za każdym razem podawał inną, coraz to wyższą cenę, zdwajając ją, jeśli przyjazny los zdarzył, że innego prócz ciebie furmana nie było?

Nie wymawiam ci tego, o Jesiotrze, który przeciwnym wszelkiemu rybiemu przyrodzeniu sposobem, żyjesz na Otwockich piaskach! Owszem, niech imię twoje bez urazy wspomnianem tu będzie, boś ty, mimo tych wszystkich spekulacyi, biedaku, w srodze wytartym spencerze chadzał,

szkapę sieczką tylko popędzał, i więcej pewno niż dziesięć przyczyn miał do drapania się to za jednym, to za drugim uchem!

W ciszy przelatujemy uśpione miasteczko. Powietrze ostre, rzeźwe; Julijskie Alpy stoją w wielkich światłach wschodu. Jest to łańcuch rzadkiej piękności linii, o przepysznie skombinowanych ostrzach i płaszczyznach. Już od Rubbii grodzą mi one drogę, silnie zwarte i modre mgłami od trzonów, czarniawe w pośrodku, a u czubów świetnie postrzępione blaskiem wiecznych śniegów.

Na prawo i na lewo, jak okiem zajrzeć, winnice. Sior Pieri powiada, że należą one do najprzedniejszych w kraju. Powiada, że trzy czwarte wina, jakie się między Ronchi i Begliano a Cervignano tłoczy, do Węgier idzie, tam stempel bierze i stamtąd się po świecie, jako węgierskie, rozchodzi.

Nagle, wzięwszy się na zachód, wpadamy w kraj nizki, równy, szeroko przed okiem otwarty, przepadzisty, w oparach sinych zgubiony, tak, że w tem porannem oświetleniu trudno rozróżnić, gdzie się kończy ziemia, a gdzie zaczyna blizkie i mało co niżej stojące morze. Cały ten ląd — to odwieczna namulizna, osadzona tu warstwa po warstwie przez spotężniałą u swego ujścia Izonę. Mówmy po słowacku: Sonczę. Żuławy to Adryatyckiego pomorza, żyzne Fiumicello. I tu, gdzie oko sięże, winnice i delikatne uprawy, mieniające się czerwonawą gliną brózd i żywą zielenią pszenicy, która bujnie okrywa wierzchy długich a wązkich grzęd, jak je u nas na buraki czynią.

Teraz wszakże wszystko to zdaje się pływać w jakiejś błękitno-liliowej powodzi, z której, jak korabie, wynurzają się szare, tu i owdzie draśnięte nizkiem słońcem „Campanille.”

Spadamy niżej coraz. Przed nami, za nami, w pobok, wyszczerkują liczne żyły wód, tak zwane „Roggie,” niby ruczaje nasze. Im dalej, tem więcej tego. Z pod lada

kamienia, z pod lada splątanego korzeniska wiązu lub sykory, wytryska ruczaj taki, szemrze, strumieni się, srebrnieje i płynie śpiesząc, poczem znów pod lada kamieniem przepada i podskórną drogą po omacku idzie; aż kiedy myślisz, że na dobre zginął, niespodzianie znów opodal wybucha.

Więc się tu wszystko, pojone wodami temi, na gwałt kwieci, na gwałt buja, wzмага, i wiosna już tu wtedy, kiedy na całym Friulu twarda jeszcze zima.

Aż i gospodarstwo domowe inny wygląd bierze. Już tu po bystrych rowach nurkują złoto-zielone kaczory, już w powietrzu wodnego ptactwa krzyki i trzepoty; już na lada skrawku łąki gęsi trzęsą białe puchy, susząc się do słońca; już w poniżach rumianość wiklin nad uboższą coraz zielenią przeważa; już pęki świeżo ciętego złotaku pod ścianami koszykarzy stoją; już u rybaczych płotów wiszą siecie, już na żerdziach kołyszą się podrywki i kosze na raki.

Ale „roggii” owych przybywa coraz gęściej. Laur i cyprys znika; winnice przepadają, wszelką zieloną uprawę wypiera szuwar siwy. Już kamienne, pojedynczo rozrzucone domostwa osad zwartych nie tworzą; już szopy z grubem sianem wspinają się na wysokie podmurówki; już sążniste drabiny u dachów stoją; już okna gdzieś na wyżkach tylko, na strychach szybkami świecą. Szmary wód wypełniają powietrze jednostajnym brzękiem, wśród którego słychać miarowy stuk młotków, zbijających łądzie.

Czas jeszcze jakiś walczy człowiek z wodą, zakłada rury, kopie kanały, odprowadza, oddala jak może te natrętne ciekę; lada grudkę, lada żuchelek ziemi osusza, okopuje kamieniami, waruje, przed zatopem broni. Aż wreszcie opuszcza ręce.

Przesycony wodami grunt z pod nóg mu ucieka, zapada się, ginie, rozpuszcza w bagniste oczerety, w owe to sławne adryatyckie „paludi,” szumiące siwą trzcina i ostrą,

podobną płowej sierści, trawą, na którą, gdy mróz wody zetnie, w pół dziki i w pół nagi pastuch pędzi swoje rude kozy, z długiej i prostej trąby dobywając głosu.

W innej porze roku siedzi tu malarya, która tyleż przynajmniej, co Hunny, ziemię te zniszczyła.

Ale i „paludi,” nad miarę rozrzedzone i podmyte, rwą się, rozstępują, pękają, puszczając wierzchem jasne szyby wodne. Szyby te potężnieją coraz, odpierają bagniste brzegi na coraz dalsze mety; łączą się, zlewają w wielkie przejrzyste oka, w słońcu drżącym blaskiem grające.

Już napierane wolnemi wodami bagna zbiegły się w stwardniałe i odporne kępy, na których kładą gniazda rybitwy, obejmujące w wyłączne posiadanie całą tę nieprzejrzaną modrość wód i nieba; już ze dna wód wyjrzały piaszczyste ławy, to stercząc jak pagórki, to wydłużając wązkie szyje, jak groble i tamy; już zalsnił, zasrebrniał, zaiskrzył ci się w oczach kraj dziki i ogromnie nowy. To laguny Adryatyku, szmat świata, który nie jest ani lądem, ani wodą, stare pole walki, w której ziemia chce wypić morze, a morze chce połknąć ziemię, jak dwa smoki w bajce.

Kto mówi: laguny, temu zaraz myśl sama dopowiada: Wenecya. I czy w niej był, czy nie był, ma widzenie słoneczne marmurów, sztuki i rozkoszy. Ma także widzenie piękności melancholicznej, przyćmionej, i świetnych, wpatrzonych w nią źrenic Byrona.

Ale tu nic mu po tej wizyi całej! Tu są laguny biedaków, wielki archipelag nędzy, którą żywi morze, której sztuką jedyną jest plecenie jazów i pastek na ryby, a najwyższą rozkoszą — umknięcie przed głodową śmiercią. I tu jest piękność melancholiczna i przyćmiona, ale nie patrzy na nią żadne świetne oko, oprócz oka słońca.

Pierścień Doży, poślubiającego Adryatyk, nigdy się nie potoczył w tę stronę, i nawet wtedy, gdy Marino Falieri na

niziny wołał, by przeciw szczytom powstały a szły, tu głucho było i spokojnie.

Już Sior Pieri dawno gdzieś został na ostatnim skrawku twardej ziemi ze swoim mierzynem i kabryoletem. Miejsce jego zajął mały, przeraźliwie świszczący stateczek, który, trzepiąc zrazu skrzela kół wężki, wskroś dzikich „paludi,” bity kanał Natissa, hula potem wśród niezmiernych, wolnych rozlewisk, jak koń w szczerym stepie.

Silny wiatr dmie od wschodu. Stado mew kołuje nad nami w miejscu, jakby nie mogąc przebić skrzydłem powietrznego prądu.

— San Marco dmucha! — mówi sternik, chowając uszy w brunatną kapuzę. Istotnie, na wschodnim horyzoncie, poniżej małego cyplu „Panigai”, rysuje się bardzo czysto i bardzo wyraźnie prastara świątynia w „San-Marco”, ostatni kres, do którego dotarł w tych stronach Apostoł, i gdzie, jak podanie mówi, tłumaczył na język grecki Ewangelię swoją. Dotąd mają tam gdzieś, zagrzebane w wielowiekowych pokładach szlamu, leżeć hieratyczne tablice, na których Ewangelia tu spisana była.

A kiedy się tak patrzy w ten daleki punkt, który legenda do oczu ci przybliży, to się doznaje dziwnego bardzo wrażenia, gdy tuż nagle przemknie rybacze, pełne ogorzałych postaci czółno, takie samo czółno, jak owo, z którego, na wodach Tyberyady, Piotr zarzucał sieć.

Tymczasem wiatr cichnie, napędziwszy ku nam cienie rzadkie, delikatne, jednostajnie szare. Szarość ta pochłania blask wód i blask nieba, wypija barwy i przygasza słońce. Niema już kolorów i świateł: jest szeroka, subtelna srebrzystość, która silnie uwydatnia kontury, jakby sepią obrysowane na tem tle perłowem. Jest to jedyne w swoim rodzaju „blanc et noir”, oświetlenie w najwyższym stopniu nastrojowe i oryginalne.

W oświetleniu tem, jak oko sięże, ogromna przestrzeń wód, z których występują piaszczyste podłoża, już to w grupach, już oddzielnie. Cały obszar morza pogrodzony głęboko w plecione z trzciny błotnej jazy i uchody. Woda szoruje przez nie, zostawiając muły, długie warkocze traw morskich i niejedną rybę. Te przejrzyste, obwieszane ruchomą zielenią płoty dzielą tu morze tak, jak na łanie chróst dzieli chłopskie sznurki żyta i jęczmienia.

Na ławicach, siwych od piasku, nędzne rybacze szopy. I na nie dały „paludi” swą szumiącą trzcinę. Po dwie, po trzy w kupkę zbite, szopy te tworzą wysepki ciemniejsze, które, w miarę jak płyniemy, zdają się chwilami odrywać i w tej dziwnej szarości powietrza trącać o siebie wzajem. Pochyło wbite do wiązania czółen koły sterczą, jak topielce z wody.

Tu owdzie pomknie łódź rybacza, dwupiórem wiosłem gnana; tu owdzie zawrzaśnie z jazów rybołówka krzykliwa; tu owdzie zarysuje się dziwaczna sylweta przygarbionego na czatach szczudłaka. I nic, i cisza, i dokoła wielka pustka wodna. Krajobraz osobliwie wnikliwy: coś jakby karta, wycięta z księgi owych czasów, kiedy korab osiadał, chwiejąc się, na Araracie, a z wód potopu wynurzały się pierwsze zamulone ziemie.

Taki jest widok lagun tych ogólny, na odległość wzięty.

Ale już od „Mutaron”, jednej z większych ławic, którą morze rozkrawa na dwie nierówne części, jak Ren Bazyleję, widok ten ożywia się znacznie. Przepływamy teraz część lagun, zwaną „La Tajada”, mając na lewo cały system tępych, dziwacznie pokrajanych ławic.

Statek nasz trąca niemal o piaszczyste wzgórza. Rybacy patrzą na nas, a my na nich. Jest to lud dorodny, o małych, okrągłych czaszkach, bardzo śniadych twarzach i głęboko czarnych oczach. Mężczyźni plotą jazy, naprawiają czółna, chłopaki zwijają sznury, rozciągają sieci, wylewają wodę z chwiejących się u kołów łodzi. Kobiety w wysoko

podgiętych spódnicach, brodzą, jak czaple, po przybrzeżach wodnych, wygrzebując piasek, małże i pająki morskie.

Do wody idzie się tu po obiad i wieszczę tak, jak gdzieindziej na targ. Co morze da, to się je: ślimak to ślimak, a ryba to ryba, ale i to drobiazg tylko, bo sztuka co grubsza na sprzedanie idzie.

Nędza tu wszędzie, aż piszczy. Za matką włożą do wody małe umorusane berbecie, między które kobieta zaraz na miejscu dzieli, co wygrzebie z piasku. I one też na swoją rękę po mieliznach plondrują, łykając, co się da, za plecami matki. Gdzie niegdzie wije się wązka smużka dymu, z palonej wprost na piasku trzciny, przy której się polenta warzy z garści kukurydzy. Gdzie niegdzie młoda dziewczyna kozią wełnę przedzie, albo sieć naprawia. Stara jakaś, w pół ślepa „strega” siedzi tuż przy brzegu, w mokrym piasku, cała brunatna od ogorzeli i ciemnych łachmanów, niby małża błotna, nieruchoma i skurczona, kręci dokoła głową, czatując na wybiegające z wody pająki. Zebraczka to morza, która u drzwi jego na jałmużnę czeka.

Coś dzikiego, coś ogromnie pierwotnego, coś zgoła po za cywilizacją leżącego żyje tu i dyszy: a jednak, tak samo prawdopodobnie wyglądać niegdyś musiała Wenecja, w przedkorsarskiej jeszcze, rybaczej dobie swojego istnienia.

Zaledwieśmy te pierwsze ławice minęli, kiedy się nam w pewnym oddaleniu, ku wschodowi, pokazała piękna wyspa „Gorgo”, z garścią pinii, cyprysów i zielenią winnic. Podróżni wybiegli na pokład. Jedni ją nazywali koszem kwiatów, inni — bukietem Adryatyku: mnie wydała się ona, w swoim nastroszeniu winnicami i czubami krzewów, jak jeź, czerniejący z pośrodku wydm płaskich i białawych.

Wyspa tu stała się przedmiotem ogólnej rozmowy. Jeden był na niej, drugi o niej słyszał, trzeci oglądał ślady rzymskich gościńców bitych w tych czasach, kiedy całe

laguny twardą ziemią były, czwarty zgoła urodził się na Gorgo.

Zaczem wszyscy ją oglądali ciekawem okiem, jakby się spodziewając osobliwszych jakich znamion urodzenia tego.

— A szkielety pan widziałeś? — pyta ktoś chełpliwie.

Powszechnie wzruszenie ramion: Któżby szkieletów nie widział? Wszyscy je widzieli. Więc opowiadacz chwycił się mnie jak deski zbawienia, gdy się okazało, że o „szkieletach” nic nie wiem.

Otóż przy niedawnych poszukiwaniach starożytności rzymskich na Gorgo, znaleziono w stwardniałych pokładach piasku doskonale zachowane szkielety olbrzymów ludzi, nie na ludzką miarę, co do których pochodzenia dotąd ani zgody, ani pewności niema.

— Jak to niema? — krzyknął ten, który gościńców rzymskich ślady na wyspie oglądał. — Każdy wie, że to są legionieści rzymscy, w jakiejś zapomnianej bitwie polegli, których, iż nie było czasu palić, piaskiem zagrzebano na prędcie, a morze zrobiło resztę.

— Bardzo przepraszam! Bardzo przepraszam! — odparł zaperzony jegomość w okularach i żółtym fularze na szyi. — Nie żadni to legionieści, lecz Amonici, którzy się tu z gór przywlekli wtedy jeszcze, kiedy o Rzymie nikomu się nie śniło!

— Ale nie Amonici, panie! — wrzasnął urodzony Gorgończyk, trzęsąc rękoma, jakby się do bójki zabierał. — To byli zwyczajni sobie ludzie z owych czasów, kiedy win nie fałszowano, chleb pieczono dobry, mięso sprzedawano tanio i nie troszczono się o politykę! Ludzie tego jedli, tego pili, dobrze spali, i ot — skąd wyrosły olbrzymy!

Podniosły się głosy protestu, z całą żywością i z całym brio południowych sporów — i już wszyscy naraz mówić zaczęli, kiedy przeraźliwy świst puszczonej pary ogłuszył nas i dyskusję przerwał.

— San Pietro d'Orio! — krzyknął sternik.

W tej chwili szarość powietrza przecierać się nieco zaczęła, a blade słońce posrebrzyło lekko na południe od Tajady sterczącą ławicę, która razem z wysepkami swojemi tworzy wpół złamany pierścień, obłąkiem ku południu zwrócony, a na roścież burzom ku północy otwarty.

Ani szopy tu rybackiej, ani życia, ani pracy. Nie widać nawet pochyło sterczących kołów, ani poczerniałych piasków, śladu ognisk przygodnych i przygodnych wypoczynków rybackich. Jedynym mieszkańcem tej pustki jest biały obelisk, drogowskaz żeglarzy, wzniesiony w miejscu, skąd wicher niegdyś kościół Ś-go Piotra razem z „Campanillą” w morze zmiotł. Cały ten wydmuch piaszczysty używa u mieszkańców lagun bardzo złej sławy; sławy tak złej niemal, jak kręcące swe wiry u cypla Istrii Quarnero, o którym marynarze mówią: „Gdy płyniesz na Quarnero, daj Bogu świeczkę raz, a dyabłu trzy razy.”

Tu kończy się Tajada, a zaczyna Banco d'Orio, kawał morza tak dobry, jak każdy inny, z tą tylko różnicą, że kiedy odpływ na bok fale zagarnie, wynurza się z pod nich potężna, tępą ławica, będąca właściwie zatopionym kadłubem tej głowy, którą San Pietro d'Orio nad wodami trzyma, dźwigając na niej swą białą kolumnę.

Takich usypisk piaszczystych, przy niskiej wodzie tylko widnych, jest tutaj niemało; cały to system rozmytych dolin i wzgórz, których czuby tworzą archipelag, to ukazujących się, to znikających piasków, nad czem dopiero wznoszą się, jako punkty stałe, taka Centenara, ze swoim lasem starożytnych, współczesnych Dantemu pinii; taka Barbana, taka Gorgo, Lovo, taki Fussalon, Mutaron, i inne het, precz, aż do Grado, którego wieże mającą nam obłocznie u celu naszej drogi.

Już gęściej coraz wieje nad morzem żółto-czerwony żagiel, na Wenetach w powszechnem użyciu będący, już

drobny port Grado i jego maszty wychodzą ku nam z morza.

Wtem śpiew... Szerokie rybackie czółno chwieje się i przybliża zwolna. Z czółna tego płyną zmieszane głosy kobiet. To rybaczki wracają z targu, śpiewając litanie loretańską. Wielkie czarne czółno ledwo je pomieścić może. Jedni wiosłują, inne przysiadły na burtach, jeszcze inne stoją proste i śmigłe, z koszami na głowach. Czyste, niskie głosy szeroko rozbrzmiewają prostą, jednostajną nutą, w takt wznoszonych i opadających wioseł.

„Mater amabilis!... Mater admirabilis!...”

W tej chwili sternik przyłożył do świstawki palec. Ale nagle się wstrzymał, zsunął kapuzę, zdjął furazerkę, i, jak myśliwy z palcem na cynglu, tak on, nie puszczając świstawki, czekał, aż czółno przeminie.

Zapluskało, buchnęło śpiewem, otarło się niemal o nas, z całą jaskrawizną chust i zapasek, ze śniadością szczupłych twarzy, czerwienią rozchylonych warg i przyćmionym ogniem zamodlonych źrenic, pod gorąco żółtym, lekko wzdętym żaglem...

Zaledwie się wszakże oddaliło nieco, Kiedy najprzeróżniejszy, jaki tylko pomyśleć można, świst rozdarł nam uszy, raz, drugi i trzeci. Zdawało się, że końca temu nie będzie. Ucichło przecież; a kiedy ucichło, gorąco-żółty żagiel chwiał się ku Tajadzie, a perłowe powietrze niosło ku nam oddalone głosy:

„Rosa aurea — Ora pro nobis!...”

---

# Miłosierdzie gminy.

## Kartka z Hottingen.

Dziewiąta dochodzi na zegarze gminy. Przez lekką mgłę poranną przebijają ciemniejsze lazurowe głębie, zapowiadając cudowną i cichą pogodę.

Przed kancelaryą snują się gromadki, oczekując przybycia pana Radcy Storcha, którego szary filcowy kapelusz i laskę ze srebrną gałką widać przed blizką kawiarnią Gehra, u stolika pana Sędziego pokoju, czytającego tu przy cienkiej kawie, swój poranny dziennik.

Pan Radca może przybyć lada chwila; tak przynajmniej sądzi woźny, stojący w półurzędowej postawie na ganku kancelaryi, i odpowiadający na pozdrowienia przechodniów przytknięciem dwu palców do granatowej, z białą wypustką, czapki.

Od strony kawiarni Gehra dolatują rzeźkie głosy obu rozmawiających panów. Pan Radca zatrzymał się tylko na chwilę, nie siada nawet, ale rozmowa z panem sędzią bawi go widać, gdyż słyhać od czasu do czasu jego śmiech swobodny, wesoły, któremu odpowiada krótkim naszczekiwaniami pyszny brunatny ceter, w postawie sfinksa u stolika leżący.

Tymczasem ludzie przed kancelaryę przychodzą, pozdrawiają się wzajem i stają, gawędząc niedbale. Niektórzy idą wprost do kancelaryi, inni przysiadają na kamiennych, połączonych luźnym łańcuchem słupkach, które niewielki, żwirem wysypany plac przed gmachem od ulicy dzielą; jeszcze inni, zadarłszy głowy, przypatrują się

samemu gmachowi. Jest nowy. Stał wszakże na miejscu, dawno zadrzewionem, z którego mu pozostawiono dwa szeroko rozrosłe, o łupiącej się delikatnej korze platany, których żywą zielenie jesienne słońce złocić już nieco zaczęło.

Sam gmach prosty, szary, kwadratowy niemal, ma na płaskim dachu niską żelazną balustradę o złoconych gałkach, a na fasadzie cztery pilastry i pamiątkową tablicę z napisem. Napis ten, błyszczący wesoło złoceniem swych liter, przyciąga oczy ludzkie. Każdy prawie z przybyłych podnosi głowę i odczytuje go z powagą. Alboż nie ma prawa? Wszak każdy na wzniesienie kancelaryi dał swoje trzy grosze, a dom jest wspólną własnością i wspólnym dziełem gminy. Niemniej przyciąga oczy zegar, umieszczony w samym ostrzu trójkąta, opierającego się podstawą o płaskie kapitele pilastrów, tylko, że wskazówki jego zdają się dziś wolniej jakoś poruszać po okrągłej i błyszczącej tarczy. Tak przynajmniej mniema właściciel blizkiej piwiarni, który co chwila dobywa swoją wielką srebrną cebulę, konfrontując ją z zegarem gminy! Miły Boże, po co się człowiek ma śpieszyć. Czas i tak leci.

Już tylko parę minut brakuje do dziewiątej; gromadki zaczynają się ściągać przed sam ganek kancelaryi, śmiejąc się i rozmawiając głośno. Niema w tem zebraniu nic uroczystego: jak kto przy robocie stał, tak przyszedł. Zwyczajnie, za interesem.

Codzienne „joppy” szarzejają się na grzbietach; rzeźnik Wallauer przyszedł w różowym, dymkowym kaftanie, Jan Blanc, rymarz z Höschli, w zielonym kitajkowym fartuchu, spiętym na mosiężną haftę z łańcuszkiem; wielu, mimo rannego chłodu, stawiło się na zebranie w kamizelkach tylko; wdowa Knaus, jak szła z targu, tak wstąpiła z koszykiem ogrodowizny i z nową szczotką pod pachą. A cóż? Wszak tu wszyscy swoi.

Nareszcie na kwadratowej wieżycy Nowego Münsteru zaczynają bić kwadranse, a jednocześnie daje się słyszeć radosne szczekanie wyżła, biegnącego u nóg pana Radcy. Wyprzedza go, wraca, znowu go wyprzedza, znów w paru susach wraca, aż weszli razem w wybornych humorach w otwarte drzwi kancelaryi. Zaraz za nimi zaczynają wchodzić czekające przed gmachem gromadki.

Wchodzą i w sieniach już dzielą się na dwie partye: ciekawych i interesowanych. Interesowani przepychają się zbitym szeregiem do żółtych, drewnianych balasków, dzielących salę na część urzędową i nieurzędową; ciekawi idą wolniej i obsiadają ławki, biegnące dokoła pod ścianą.

Nie jest to rozdział stanowczy.

To z jednej, to z drugiej strony co i raz miano sobie coś do powiedzenia; czasem też który z ciekawych uczuwał się nagle interesowanym i u balasków miejsca sobie szukał. Człowiek może się namyśleć i w ostatniej chwili.

Interesowanych jest mniej; ci mają ważniejsze stanowisko w sali. Jest tu powroźnik Sprüngli, który się niedawno z wdową ożenił i warsztat chciał rozwinąć; jest Kägi Tobjasz, właściciel piwiarni „Pod zieloną różą”; jest piekarz Lorche; jest oberżysta z Mainau; jest Dödöli, właściciel winnicy; jest Wetlinger Urban, słodownik; jest Tödi Mayer, ślusarz; jest kotlarz Kissling; jest ogrodnik Dörfli; jest stolarz Leu Peter i kilku innych jeszcze.

Każdy z nich potrzebuje posługi to w warsztacie, to w domu, to w roli. Każdy też woli, że mu to taniej przyjdzie, niż gdyby parobka zgodził. Porozpierali się u balasków i gwarzą z cicha. Wdowa Knaus także się między nimi rozparła. Od czasu, jak się syn ożenił, na imię boskie niema się kim w domu pchnąć. Jest przytem miłosiernego serca i chętnieby biedotę jaką wzięła, żeby tylko posługę z tego niezgorszą mieć można. No, i żeby dopłata niebardzo marną była. Nie może przecie niedołągi darmo do domu